

KULTURA KONTRA CYWIŃSKA czyli o samodzielności

Pewien mój znajomy westchnął kiedyś z melancholią: „Jeśli to prawda, jak pisał Szekspir, że świat jest teatrem, Polska jest na pewno teatrem amatorskim”. W teatrze głównie się gada. W życiu, okazuje się, też. Wydaje nam się, że jak już mamy wolność polityczną, reszta zrobi się sama. Ale ta reszta jest właśnie najważniejsza. Do wykonania wolności trzeba zawodowców. A my, jak pokazuje rzeczywistość, jesteśmy w tym teatrze nadal amatorami.

Wydawałoby się, że gdzież wolność może mieć lepsze zastosowanie, jak nie w kulturze. Zwłaszcza w sztuce, która najczęściej jest skutkiem samotniczego, osobnego skupienia. Straszliwy to truizm, ale wart powtarzania zawsze, gdy zaczynają się mylić pojęcia wolności i samoobrony. Odnoszę wrażenie, że w roku 1990 polscy twórcy zajęli się przede wszystkim myśleniem o samoobronie, a nie o szansach wynikających z wolności. Ba, dla samoobrony są niemal gotowi zrezygnować z wolności. Oto prawdziwy skutek komunistycznego zniewolenia.

Mówiąc w ogromnym uproszczeniu, mam na myśli

Mówiąc w ogromnym uproszczeniu, mam na myśli to, że przeważająca większość ludzi kultury nadal oczekuje od kogoś pomocy w swojej egzystencji. Ulubionym chłopcem, a właściwie dziewczynką do bicia, jest Izabella Cywińska, z podległym jej resortem kultury i sztuki. Albowiem ministerstwo istnieje po to, by dawać, zapewniać, opiekować się i pomagać. Jak było dawniej. Gdy robi to w zbyt małym stopniu, winne jest tylko ono. Bo przecież po co innego istnieje?

Nie zamierzam zajmować się tutaj Ministerstwem Kultury. Jakże jest każdy widzi. Pogubione, upłatane w sprzecznościach interesów i często bezsilne. Najgorsze, że znajduje się — jako instytucja po raz pierwszy od 1945 roku — w sytuacji całkiem dla siebie nowej: w ideszczach pomiędzy Scyllą wymagań społecznych a Charybdą zobowiązań wobec rządu. Poprzednie ekipy miały ten dylemat w znacznie mniejszym stopniu. Po prostu czyniły to, co ustalał rząd, realizując tak zwaną politykę kulturalną. Partia decydowała o polityce, zaś ministerstwo rozdawało nagrody i kary według znanych kryteriów. „Na kulturę” szło jak zawsze najmniej pieniędzy z państwowej kasy, ale jakoś się to wszystko utrzymywało przy życiu. Rząd był figurantem, szczególnie figurantem był każdy minister kultury, wszyscy o tym wiedzieli, zaś spór z polityką kulturalną był częścią tylko fragmentem znacznie większego sporu z kształtem życia w niewygodnym ustroju.

Obecny konflikt między ludźmi kultury a ich ministerstwem, bodaj największy w powojennych dziejach, wyraża się w istnieniu takiej oto sprzeczności: otóż ministerstwo jest postrzegane jako jednocześnie „nasze” i „nie-nasze”. „Nasze”, jeśli spojrzeć od strony politycznej. „Nie-nasze”, jeśli je oceniać po skutkach działania.

Największym zawodem, jaki spotkał twórców kultury ze strony ministerstwa, jest ten, że owo nareszcie „nasze” jest gorzej od reżimowego. Mniej płaci, mniej ochrania, nie zabezpiecza i nie uspokaja. Jest gorzej w tym przede wszystkim, że jako „nasze” nie zajmuje się „nami” w stopniu przynajmniej takim, w jakim reżimowo zajmowało się „swoimi”. Zdradziło zatem podwójnie. Nie dość, że skąpo finansuje, że zaważyło sprawę ze związkami twórczymi, ich statutem i majątkiem, to jeszcze na dodatek trzyma z rządem. Co z tego, że „naszym”?

Powtarzam — nie chodzi mi o ministerstwo. Ze sobie nie daje rady ani z własną Scyllą, ani z Charybdą, widać jak na dłoni. Usiłując sprostać logice rządowych restrykcji finansowych, zawartych w programie Balcerowicza, tylko pogłębia konflikt z roszczeniową postawą znakomitej części ludzi kultury i sztuki. Usiłując wyprostować jawne skrzywdy i nieszczęścia, będące skutkiem reformy, narzuca konsekwencję założeń programowych rządu na teoretyczny i praktyczny szwank: jeśli reforma się nie uda, winni będą wszyscy albo nikt.

Coraz częściej pojawiają się głosy, że właściwie na cholere taką instytucja. Najlepiej ją rozwiązać, a pieniądze, przeznaczone zarówno na samo jej istnienie, jak na dofinansowywanie kultury, należy rozdać

społeczeństwu w postaci, być może, dodatku do pensji. Niech sobie sami ludzie decydują, czy i jakie chcą mieć teatry, kina, filharmonie, muzea czy biblioteki. Jak prawa rynku, to do końca.

No cóż, sytuacja na razie jest taka, że gdyby rzeczywiście dano teraz ludziom te pieniądze, pożegnali byśmy się, być może na długo, a może i na zawsze, z większością wartości przedmiotowych i duchowych, składających się na istniejący jeszcze, choć coraz bardziej dewastowany, pejzaż kultury. Już widzę, jak ktoś, kto dostanie 15 czy 50 tysięcy więcej, pobiegnie dofinansować koncert wiołoncełowy Dworzaka w filharmonii bydgoskiej albo muzeum rysunku w Lubaczowie.

Rozgoryczenie twórców budzą także Sejm i Senat. O wszystkim się tam mówi, tylko nie o kulturze. A jak już, to nie daj Boże; lepiej, żeby kultura w ogóle nie stawała na wokandzie. Po prostu, co ustawa, to gorzej. Najpierw okropnie potraktowano wy-
dawnictwa, podtrzymując mordercze podatki, a jesz-

cząc dokładając nowe restrykcje w postaci uwzględnienia honorariów autorskich w wynagrodzeniach ponadnormatywnych. Dopiero niedawno złagodzone część podatków i czasowo wstrzymano restrukturyzację wspomnianych wynagrodzeń. Potem załatwiono odmownie plastyków, kwalifikując pracownie twórcze do kategorii lokali użytkowych. Co oznacza zrównanie pod kątem podatkowym i czynszowym pracowni malarskiej na przykład z zakładem fotograficznym usług dla ludności, ten tylko wie, kto kupował ostatnio farby i usiłował sprzedać jakiś obraz. Tubę farby taniej dziś można kupić w Wiedniu czy Berlinie Zachodnim...

A postowie przeważnie milczą. I zazwyczaj głoszą przeciw. Dlaczego? Bo na przykład wstydzą się upominać o łaskę dla artystów czy pisarzy, podczas gdy rolnicy grożą Polsce głodem. Ale myślę, że jest jeszcze inny, głębszy, zapewne utajony w podświadomości powód. Otóż, po raz kolejny bierzemy ciężki za niegdysiejsze zdrady polskiej kultury. Za służenie na dworze władców PRL i teraz, gdy naród nareszcie doszedł do głosu, mówi, co o tym myśli.

Albowiem było tak, że kiedy chłopci oddawali przymusowy kontyngent, artyści dostawali medale od czerwonego dworu. Powie ktoś, że przecież działo się to tak dawno. Zmazaliśmy swoje winy. Niektórzy odsiedzieli je w więzieniach. KOE był wszak wielką ekspiacją inteligencji za stalinowskie i go-mulkowski zdrady. To także dzięki niezwykłemu ruchowi niezależnej kultury z lat 70. i 80. uzyskaliśmy świadomość pozwalającą nam znaleźć się dziś w miejscu jakże odległym od czasów realnego socjalizmu. Wszystko prawda. Ale nie do końca. Dusza biała na królewskim dworze nadal wylazi przy byle okazji z poniekąd twórcy narodowej kultury. Niechby to był nawet dwór swój, dwór Mazowieckiego, dwór Wale-sy. Głośne swego czasu akcje „Artyści dla Rzeczypospolitej” — jakież to okazje do popisów samochwalstwa, niepohamowanej nieskromności w prześciganii się na ofiar-

nicze gesty. Te bale na okoliczność darów narodowych, gdzie scenografia i kostiumy niemal tyle bywały warte, co ów cały dar... Tych fałszywych tonów w ofiarnym uniesieniu nie słyszą bodaj tylko sami bohaterowie szlachetnych przedsięwzięć. Jak jednak upominać się potem o łaski dla kultury, skoro widać po artystach, że „są tak przeciętnie zdrowi”?

Artyści plastycy co prawda jeden po drugim ładują na bruk, nie wytrzymując zderzenia z czynszowymi żądaniami właścicieli posesji, ale czy można się dziwić tak zwanemu społeczeństwu, że patrzy z niejaką odrazą i zazdrością na ceny za współczesną sztukę, która jakże często jest policzkiem wymierzonym w jakiegokolwiek pojęcie pracy?

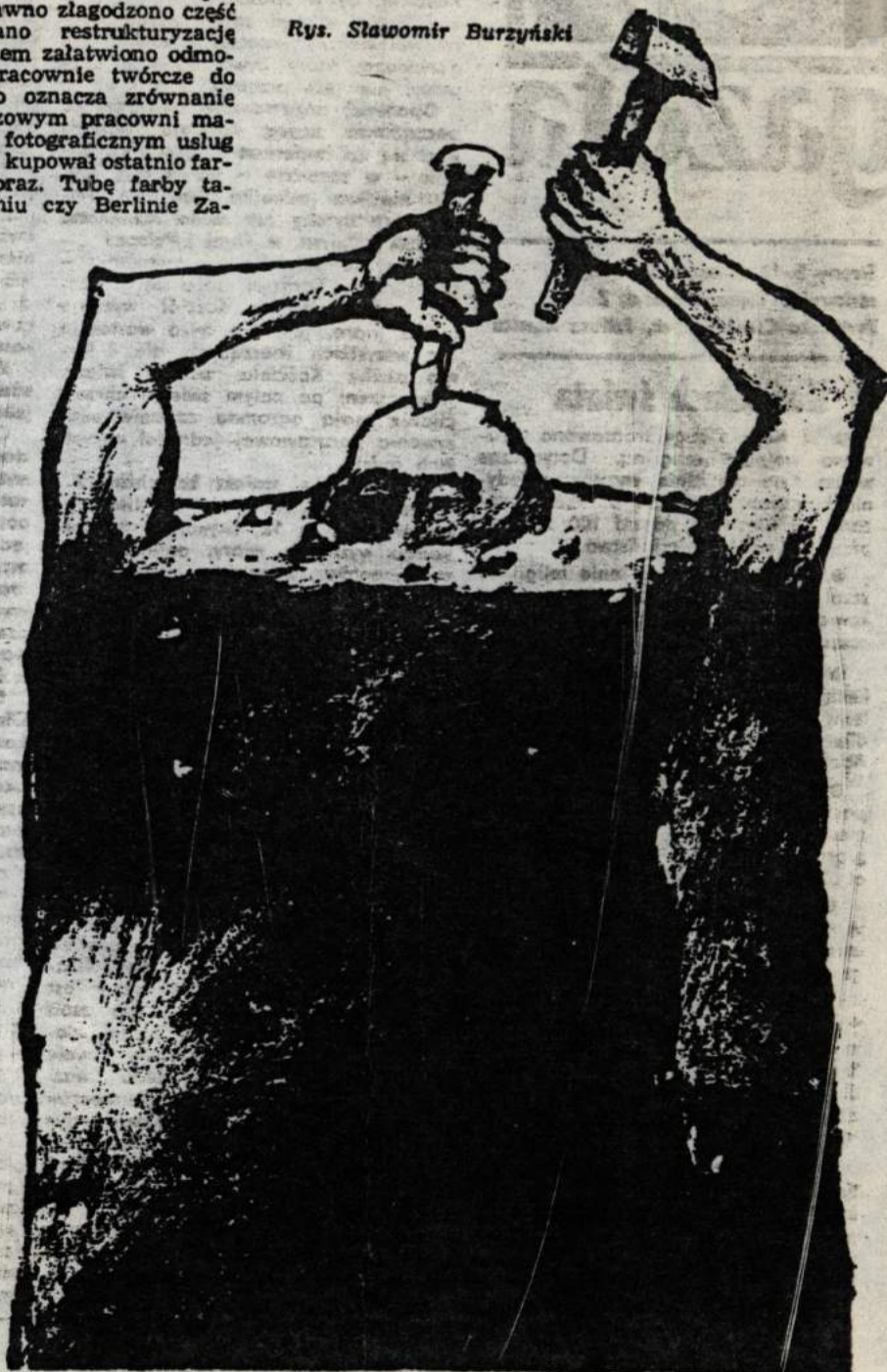
Mylenie pojęć staje się zresztą czynnością coraz bardziej niepokojąco trwałą. W „normalnym” kapitalizmie czynsze za miejsce pracy twórczej nie są wyższe od czynszów za zwykłe mieszkanie. Bo w końcu czy należy karać plastyków za to, że wymagają większej przestrzeni do swojej działalności? A gdyby tak aktor czy skrzypek byli zmuszeni wynajmować, choćby ze względu na dobro rodziny czy sąsiadów, dodatkowy pokój do pracy? Czy głośne uczenie się na pamięć Szekspira albo ćwiczenie koncertu Bacha kwalifikowałyby tę działalność do miana „produkcji użytkowej”?

Wszędzie na świecie są artyści zarabiający miliony i ogromna większość tradycyjnie wiążąca koniec z końcem. I u nas nie jest inaczej. Ale mało kto chce przyjąć do wiadomości, że ta swoista „zemsta” społeczeństwa na artystach wzięła się między innymi z faktu, że komunizm, właśnie on, uczynił z artysty, z pisarza, w ogóle z człowieka kultury, twór wyższy nad pospolitą mierzwę, zwaną pogardliwie „ludem”. Dziś jaśniej niż kiedykolwiek okazuje się, że olbrzymia część kultury istnieje tylko dlatego, że była potrzebna tamtemu państwu jako propagandowy parawan ochronny, jako autoreklama „europejskości”, światowości, cywilizacji i tak dalej. Jednym słowem, skoro już niczym nie można się było pochwalić, bo przecież ani przemysłem, ani rolnictwem, ani techniką, ani nawet brakiem bezrobocia, bo było okupione znanymi idiotyzmami w strukturze zatrudnienia — zawsze jeszcze pozostawali aktorzy, muzycy, malarze i poeci. O których wiedziano, że gdyby dać im reklamową szansę równą ich kolegom na Zachodzie, to dosyć inaczej wyglądałyby hierarchie współczesnej kultury na świecie. Włec nawet jak wierzali i pluili na socjalizm, to warto było dawać im godziwie żyć; nie wszyscy w dziejach władz PRL byli takimi samobójcami jak niejaki Jerzy Łukaszewicz, o którym słusznie mówił Kisielewicz, że najbardziej zaszkodził własnej partii, prowokując w latach 70. pisarzy — różnymi personalnymi listami proskrypcyjnymi — do organizowania się w podziemną prasę i wydawnictwa.

Gdy tamta władza odeszła, wraz z nią skończyły się przyjemne czasy życia na państwową chwałę, czy ktoś tego chciał czy nie. Zostaliśmy sami ze sobą. I z tym, co nam tamta władza zostawiła w spadku. Nikt „nas” nie pytał, czy chcemy mieć osiemdziesiąt teatrów. Tytu teatrów na państwowych etatach nie mają najbogatsze kraje Europy Zachodniej i Ameryka. Ale biedna Polska ma. Nikt „nas” nie pytał, czy

chcemy mieć setki gazet wydawanych przez rządząca

Rys. Sławomir Burzyński



partię i jej ideologiczne przybudówki. Tytu dotowanych odgórnie piśm nie miał, bo po co, nikt na świecie, ale realny socjalizm i to nam zafundował. Gigantomanię wydawniczą państwo doprowadziło do stanu, w którym największym problemem stało się wydanie książki. To samo państwo narozdawało tyle medali, nagród i odznaczeń tytu — między innymi — półpiśarzom i ćwierć-artystom, że starczyłoby na obdzielenie nimi prawdziwych twórców w niejednym kraju przez długie lata.

Teraz wszystko się syple. Zasłużenie. Ale wszyscy, prawie wszyscy, uważają, że mają prawo do nie zmienionego losu. Bo kiedyś ktoś nadał im do życia w sztuce prawo. Nawet, jeśli prawem kaduka. I nawet, jeśli tamten nadawca praw określany jest teraz mianem „wrednego komucha”.

Sztuka jest ryzykiem, że się nie uda, że można przegrać u startu, w środku i na końcu, zaś pretensje do złego losu zawsze będą usprawiedliwieniem dosyć podejrzanym. Komunizm, w całym swoim szaleństwie, uczynił z kultury Zawodowe Posłannictwo, wypaczając stare tęsknoty idealistów: kultury, proweniencji tak romantycznej, jak pozytywistycznej. „Inżynier dusz” — to stalinowskie określenie pisarza idealnie oddaje istotę rzeczy. Merkantylny komercjalizm zostawiono Zachodowi jako wypaczenie Służby Sztuce; tu stworzono Starszego Instruktora od Prawdy, docenta mianowanego malarstwa i magistra sztuki aktorskiej. Artysta przywiązał się do swojego posłannictwa jak do niezłe prosperującego urzędu i ani mu w głowie, że ten etat nie jest od Boga ani od Mazowieckiego, ale od wymyślonej kiedyś przy biurku strategii wobec kultury.

Jest ciężko. Nieprędko będzie lepiej. Program uratowania tego, co najlepsze z czterdziestolecia PRL, jednocześnie bez popadania w ośli zachwyty nad rozwiązaniami zachodnimi, jest zadaniem karkołomnym, bo na psychologię twórczości nakłada się histeria czysto egzystencjalna. Państwo pomoże — ile będzie mogło, a samorządy pomogą — o ile będą chciały. Nie jest chyba dla nikogo tajemnicą lęk przed miejscem kultury w strukturach właśnie samorządowych. Nawet nie chodzi tylko o pieniądze, choć restrykcje podatkowe, drastyczne z uwagi na sytuację ogólną, wciągnęły nie pozwalają na stworzenie naturalnych baz finansowych kultury, jakimi są na świecie fundacje, system firmowych stypendiów z odpisów podatkowych, dotacje prywatne (nie opodatkowywane od darowizny...), a wreszcie cały rozbudowany aparat pośrednictwa wokół rynku kultury i sztuki.

Chodzi przede wszystkim o skutki wieloletnich manipulacji, jakim podlegało samo pojęcie artysty w społeczeństwie. Nikt nie wie, jakie to będzie miało dalekie i jeszcze dalsze konsekwencje. Ale pierwsze efekty widać. Nie są zachęcające.

Na miejscu twórców, wszelkiego autoramentu, nie liczyłbym też zbyt na Ministerstwo Kultury. Wcale nie dlatego, że ma złą wolę, niekompetentnych pracowników czy mało pieniędzy. Akurat prawie każdy z tych argumentów byłby do obalenia. Idzie raczej o pewną strategię, z którą ministerstwo zdradza się coraz bardziej, choć stara się tego wprost nie ujawniać, że względów może taktycznych, może psychologicznych. Jest to strategia przyuczania kultury do większej wolności, niezależności. Między innymi poprzez zdejmowanie z ministerstwa coraz większej liczby funkcji, zadań i odpowiedzialności. Jeśli artyści, niedopieczeni, zawłoda się ostatecznie na resorcie, może skuteczniej poszukają ratunku w sobie samych... Nabiorą, wreszcie, samodzielności, męskości, uwolnią się spod opiekuńczych skrzydeł społecznego taty-państwa...

Można oczywiście posądzić tę strategię o zwykłe umywanie rąk w trudnej sytuacji, i jest to pogląd w sposób zrozumiały przeważający. Ale twarda i gorzka lekcja samodzielności, która odsieje niemną liczbę pasożytów na ułatwionym państwowym chlebie, może być nadzwyczaj przydatna przy wchodzeniu Polski na kulturowe rynki świata. Gdzie nikt niktogo nie głaszcze i nie tuli, a wielkie pieniądze i wielki prestiż bywają okupowane równie wielkim wysiłkiem.

Okoliczności zewnętrzne i wewnętrzne ewidentnie nie sprzyjają tej strategii — jeśli ją dobrze odczytują. Zawsze bywa tak w czasie przejściowym, pełnym nerwów, błędów i braku wyobraźni co do przyszłego życia w naprawdę samorządnym i samodzielnym państwie. Pozostaje jednak walczyć, nie labi-dzić. I raczej walczyć o coś, niż z czymś. A że pią-czu, się, jak mawia pewien mój przyjaciel, subiekty z obiektami, wystarczy przyjrzeć się niektórym po-myślom ratunkowym.

Na przykład bardzo chwalebna jest rzeczą udział we wszelkich akcjach na narodowe fundusze, choć zresztą ostatnio jakby przycichł szum wokół tej sprawy. Ale czegoś nie rozumiem. Przeznacza się mianowicie wcale spore sumy — czy to w gotówce, czy to w przedmiotach podlegających aukcjom — na pomoc rządowi. Jednocześnie jednak żąda się od tegoż samego rządu pomocy dla siebie. Czy nie byłoby prościej rozdzielić choć część tych pieniędzy zwyczajnie na własne potrzeby? Związki twórcze narzekają na biedę. Gazetom grozi plajta. Czy zamiast ofiarowy-wać przedmioty sztuki na ogólne cele nie byłoby le-piej pozakładać przy stowarzyszeniach twórczych jakichś jednostek gospodarczych, mogących zapewnić godziwy dochód? (Podobno akurat tutaj coś się nie-dawno ruszyło.) Artysta zamożniejszy niech przezna-czy zysk ze sprzedaży poniekąd którego dzieła na stypen-dia dla młodych twórców albo na dofinansowanie ich warsztatu, który teraz kosztuje majątek. Ilu zna-lazłoby się pisarzy, których byłoby spokojnie stać na dołożenie do debiutu, do książki szczególnie deficy-towej? Czy rozchałturzeni aktorzy, których rozumiem, bo teatry ich bynajmniej nie rozpieszczają, nie mo-gliby założyć jakichś wewnętrznych fundacji na rzecz własnego środowiska, a mam na myśli głównie pomoc dla tych, których siła przebicia, z tysiąca powodów, łącznie ze starością, zmalała do zera?

I tak dalej. Otóż i taki można sobie wyobrazić mo-del solidarności. Konkretny, a nie pokazowy. Realny, a nie wyczerpujący się w walkach prestiżowo-poli-tycznych. Bez obrazy na los, że brzydki i nie kocha.

9 czerwca 1990